OKRUCHY LITERACKIE.

ZEBRAŁ

Adam Bełcikowski.

Stanisław Serafin Jagodyński.—Dominik Morolski.—Józef Bielawski.

Kto ma do czynienia ze staremi szczególnie książkami, temu wpadnie nieraz do rąk rzecz godna zanotowania. Częstokroć nie jest to nic nazbyt ważnego, drobniejsza jakaś wiadomość lub okoliczność; ale gdyby nie to przypadkowe napotkanie jéj, niktby jéj pewnie naumyślnie nie szukał, albo gdyby jéj szukał, nie tak prędkoby ją znalazł i dużo musiałby wprzódy przerzucić książek i w nich się naszperać. Dla tych powodów postanowiłem zapisać tutaj kilka takich luźnych wiadomości, do historyi naszéj literatury się odnoszących, które zawdzięczam jedynie przypadkowi, a dokładniéj mówiąc, przeglądaniu książek, przy pracy bibliotecznéj przechodzących mi przez ręce. Et haec meminisse olim jurabit!... może i to komu na co się przyda, więc żalby było to, co się napotkało i dostrzegło, zostawić bez śladu i puścić w niepamięć.

I.

Otóż najprzód jedném z takich źródeł była niewielka, ale wcale rzadka książeczka ascetycznéj treści: „Allegoriae albo Kwiecia módł gorących, wynalezione dla unurzenia dusze w Bogu," napisana przez Krzysztofa Chaleckiego. W książeczce saméj nie ma nic szczególnego; pan Krzysztof Chalecki nie zajaśniał téż przez nią, ani nigdy jaśnieć nie będzie w literaturze. Znalazłem jednak przy niéj niedługi wierszyk, w rodzaju przedmowy do czytelnika, który zwrócił więcéj moję uwagę z téj przyczyny, że pod nim przeczytałem podpis: „Stanisław Serafin Jagodyński." To już chociaż niezbyt rozgłośne, ale znane dobrze imię w literaturze XVII wieku. A o autorze noszącym je niegdyś tak mało wiemy!... może ten wierszyk, nieznany zresztą i zagrzebany

w książeczce p. Krzysztofa Chaleckiego, coś nam o nim powié, rozjaśni choćby jeden szczegół w ciemném dla nas jego życiu.

Najprzystępniejszą, jedną z najbliższych nam i najbardziéj niewątpliwie w naszych czasach rozpowszechnioną biografią Jagodyńskiego, jest króciutka wiadomość, jaką o jego życiu przy wydaniu niektórych jego pism w Bibliotece Polskiéj podał wydawca tej publikacyi, J. K. Turowski, r. 1860. Ta biografia tak powiada: „Stanisław Serafin Jagodyński, syn Kaspra, urodził się na Żmudzi na początku XVII wieku. Chodził najprzód w Wilnie do szkół jezuickich od roku 1613; późniéj 1619 przeniósł się do Krakowa, gdzie go w dopiéro wymienionym roku, podczas letniego kursu, za rektorstwa Jakóba Janidła, Dr. praw i kanonika, wpisano w poczet uczniów akademii Jagiellońskiéj" i t. d.

Książeczka p. Chaleckiego większą część tych wiadomości, a mianowicie datę urodzenia Jagodyńskiego i czasu, w którym do szkół miał chodzić, stanowczo zbija. Wydaną ona była u Leona Mamonicza w Wilnie właśnie w tym samym 1613 r., w którym J. K. Turowski każe Jagodyńskiemu rozpoczynać naukę w szkołach jezuickich. Umieszczony przy niéj wierszyk Jagodyńskiego składa się z dwóch właściwie części: w pierwszéj autor zwraca się „Do Wielmożnego Pana P. Authora," wyrażając mu podziękowanie za podjęty trud, w drugiéj „Do Czytelnika," polecając mu tę pracę, jako szczególnie dla jego duszy pożyteczną. Jest to zatém jedna z owych rekomendacyi, jakie według ducha i zwyczajów owoczesnéj literatury tak często w dawnych książkach umieszczano. Podobne rekomendacye, co z natury rzeczy wypada, dawali autorowie już znani, mający wyrobione imię, będący pewnego rodzaju powagą, bo inaczéj ani ich pochwała dla autora, ani polecenie dla czytelników, nie miałyby żadnego znaczenia. Im dostojniejszą zaś była z jakichkolwiek względów, czy z talentu, czy z urodzenia, osoba autora, tém znakomitsze musiało być także pióro, które dziełu świeżo ogłoszonemu aprobatę literacką niejako dawało. W tym wypadku mamy właśnie do czynienia ze znaczną wcale figurą. Pan Krzysztof Chalecki pochodził z możnéj rodziny litewskiéj, z jednego z tych rodów szlacheckich, które blizko z magnatami się stykały. Jego ojciec, Dymitr, był podskarbim W. Ks. Litewskiego, starostą mohilewskim i brzeskim, on sam miecznikiem litewskim i także jakimś starostą, bo choć Niesiecki nic o tém nie wié, taki tytuł daje mu w wspomnianym wierszyku Jagodyński, znający zblizka i pewnie dobrze te rzeczy. Taki dygnitarz pewnie lada kogo nie brałby sobie za literackiego protektora.

Z tych wszystkich okoliczności wypada, że Jagodyński musiał daleko wcześniéj się urodzić niż to zwykle podają jego biografie, że w r. 1613, w którym pana Chaleckiego polecał czytelnikom, nie mógł być kilkunastoletnim młodzieniaszkiem i prawie dzieckiem, ale autorem posiadającym już pewną reputacyą, a zatém człowiekiem liczącym sobie co najmniéj około lat trzydziestu.

Wydawca jego pism w Bibliotece Polskiéj nie znał tego wierszyka przy książeczce p. Chaleckiego na czele umieszczonego, lecz pomimo to dziwić się wypada, że inne znane mu okoliczności i daty nie naprowadziły go na to, że Jagodyński w czasie przez niego pierwszy raz nieco dokładniéj oznaczonym urodzić się nie mógł. Znany albowiem był temuż wydawcy inny wiersz łaciński, panegiryk na wesele tegoż p. Chaleckiego z Eleonorą Stvoebichin (Niesiecki zapewne mylnie nazywa ją Stichinówną), przez Jagodyńskiego w tymże samym r. 1613 wydany, a nadto między pismami Jagodyńskiego, przez siebie przedrukowanemi, wydał on inny podobny utwór, napisany znów na wesele innego Chaleckiego, Aleksandra z Anną Magdaleną Wojnianką, podkanclerzanką W. Ks. Lit., p. t.: „Nymphika,” który również w nieodległym od poprzednich czasie, bo w r. 1617, u Józefa Korczana w Wilnie był drukowany. Obie daty znanych mu tych prac powinny go były objaśnić, że Jagodyński ani w 13, ani w 17 roku życia ani polskich, ani témbardziéj łacińskich wierszy pisać i z niemi podczas uroczystości familijnych rodziny wcale na Litwie znacznéj, publicznie występować nie mógł.

Dla przyszłego biografa Jagodyńskiego z omówionych tu przez nas trzech wierszy, wystosowanych wyłącznie do Chaleckich, wypada tylko ten pewnik, że nasz poeta w owym czasie miał lub szukał swoich mecenasów w téj rodzinie, że może według zwyczaju owoczesnego był w téj epoce u nich dworzaninem i że urodzony na Żmudzi, nie oddalał się jeszcze od stron ojczystych daleko, bo przemieszkiwał na Litwie. Ale wkrótce miał się przenieść w miejsca zupełnie inne. W rok po wydrukowaniu swoich „Nymphik” w Wilnie, drukuje on albowiem swoje satyryczne epigramata p. t.: „Grosz,” poraz pierwszy w Krakowie r. 1618, a następnie w r. 1619 znajdujemy go zapisanego w metryce studentów Akademii krakowskiéj.

Ta ostatnia data, niewątpliwie pewna, bo jaknajwyraźniéj w metryce Akademii zapisana i przez nas naocznie sprawdzona, przemawiałaby pozornie za twierdzeniem Turowskiego o wieku naszego poety i nasze własne obliczenie mocnoby się zdawała zachwiewać, chyba gdyby, co jest nieprawdopodobném, udało się komu wyszukać, że było w owych czasach dwóch Jagodyńskich tychże samych dwóch imion chrzestnych (Stanisław Serafin). Jagodyński urodzony na początku XVII wieku, a w r. 1619 zaczynający swoje nauki akademickie, to jedno do drugiego bardzo dobrze licuje, bo wiek między np. rokiem 17 a 19 życia, to właśnie najzwyczajniejszy czas owych nauk, zwłaszcza w owéj epoce, gdzie po skończeniu lat 13-tu na Akademią się zapisać było można. Ale pozostaje zawsze jedna trudność: owe wiersze polskie i łacińskie, drukowane na kilka lat przedtém, stają zawsze w drodze w przyjęciu tych dat za pewne. Trzeba więc chyba inaczéj tę okoliczność sobie wytłómaczyć.

Tłómaczymy ją sobie poprostu tém, że Jagodyński w późniejszym, w dojrzałym już wieku na Akademią się zapisał. Zdarza się to

i dzisiaj, a zdarzało zawsze, że ludzie nawet starsi w poczet studentów wstępowali. Jagodyński, przerzucony nieznajomemi nam kolejami losu do Krakowa, znalazłszy się może w korzystniejszych, niż dotąd, warunkach, zapragnął może uzupełnić swoje wykształcenie, douczyć się tego, czego dotąd uczyć się nie miał sposobności, może znęciły go wykłady którego z wybitniejszych profesorów: dość, że z jakiéjkolwiek przyczyny mógł zapisać się na Akademią, choć już dawno minęły mu lata, w których zwyczajnie te studya się odbywa.

Odtąd Kraków lub jego najbliższe okolice musiały być stałą siedzibą Jagodyńskiego, wszystkie bowiem jego późniejsze prace (Dworzanki, Maszkary mięsopustne, Wybawienie Ruggiera i Pieśni Katolickie), bez wyjątku w Krakowie były drukowane. Los też poszczęścił mu i podniósł go o jeden stopień w górę w jego karyerze, bo z przypuszczalnego dworzanina panów litewskich został, dzięki swemu dowcipowi i krotofilności (jak się wyraził Siarczyński), posunięty na dworzanina królewskiego. To przynajmniéj z pewnością wiemy, że z dworem królewicza Władysława odbywał podróż za granicę, do Niemiec, Belgii i Włoch. Domyślamy się, że do orszaku królewicza wzięty był nie z innego powodu, tylko jako poeta i literat, który będąc biegłym w piórze, mógł się do uświetnienia téj wycieczki młodego księcia przyczynić, czy to przez jéj opisanie, czy téż przez dowody swojego dowcipu i literackich wiadomości, któremi wobec cudzoziemców mógł pochlebne złożyć świadectwo o ogólném wykształceniu swych współziomków. Okoliczność ta przemawia również za dojrzalszym już w owe czasy wiekiem Jagodyńskiego, bo młodzieniec zaledwie dwudziesto lub dwudziestokilkoletni zapewne nie mógłby był jeszcze zdobyć sobie powszechnéj opinii, że podobnemu zadaniu podoła, i sława jego nie byłaby jeszcze doszła tak wysoko, bo aż do ucha królewskiego. Królewicz Władysław wyjechał w tę podróż, jak powiada Twardowski Sam. w swéj wierszowanéj panegirycznéj biografii: „Władysław IV,“ dnia 17 maja 1624 roku, a z pierwszą wiosną następnego roku powrócił do kraju.

Jedynym plonem literackim Jagodyńskiego z téj podróży, a zarazem najlepszą bezwątpienia jego pracą poetyczną, było tłómaczenie jednéj z tragedyi, jakie dla królewicza dawano we Florencyi p. t.: „Wybawienie Ruggera z wyspy Alcyny” po włosku napisanéj przez Saracinelle'go. Wizyta we Florencyi należała do najcelniejszych epizodów tej podróży, a mianowicie nigdzie, jak zapewnia Twardowski, a czemu łatwo wierzyć, znając tradycyjne zamiłowanie sztuk pięknych dworu Florenckiego, nie rozwinięto tyle przepychu i okazałości w rozmaitych widowiskach, jakiemi dostojnego gościa uraczyć chciano [1]).

[1]) Pobyt królewicza Władysława we Florencyi opisuje dosyć szczegółowo dziennik téj podróży, spisany przez Stefana Paca, a wydany przez nas w r. 1854 we Wrocławiu p. t.: „Obraz dworów europejskich na początku XVII wieku” (str. 140 sqq.).—O Jagodyńskim, jako towarzyszu podróży,

Ludzie i zwierzęta występowali na arenach przed koronowanymi widzami; szermierze i atleci walczyli z sobą o lepsze, a rozjuszone lwy, lamparty, niedźwiedzie i brytany, szarpały się kłami i pazurami dla ich przyjemności, a oprócz tego i szlachetniejsze igrzyska Muzy miały także otwarte dla siebie szranki. Więc naprzód dawano tragedyą:

„O Orszuli świętéj,
Z towarzyszek tak wielą od Attyle ściętéj,“

a następnie: „Dnia drugiego w pałacu arcyksiężnéj samćj“ ową „Scenę Ruggerową,“ ze wszystkiemi cudami i sztukami dekoracyi, maszyneryi, śpiewu i baletu, która szczególnie widzom a mianowicie polakom podobać się musiała, skoro ją nadworny poeta podróży królewicza dla utrwalenia i pamięci tego wrażenia na język ojczysty przełożył i w Krakowie 1628 r. wydał. Być może, ponieważ nie znamy pierwszéj z tych sztuk o św. Urszuli i nie wiemy co w sobie zawierała, że skłoniły go do tego przekładu pochlebne apostrofy wprost do osoby królewicza w Ruggierze wystosowane. Tłómacz podał tym sposobem do wiadomości całego ogółu polskiego, co zagranica na pochwałę młodego Władysława głośno i w świetném zebraniu książąt i panów wypowiedziała, i chociaż nie oryginalnym utworem wywiązał się przez tę pracę z obowiązku, który na przyjęcie go w poczet towarzyszów królewicza najwięcéj bezwątpienia wpłynął.

Po wydaniu Ruggiera ustają prawie wiadomości o życiu Jagodyńskiego. W Encyklopedyi Powszechnéj Orgelbranda znajduję tylko wzmiankę, że późniéj jeszcze nasz poeta, snać zachęcony powodzeniem pierwszego przekładu, przetłómaczył niektóre utwory Petrarki i tłómaczenie to, mające dotychczas spoczywać w Bibliotece Zamoyskich w Warszawie, królowi Władysławowi IV dedykował. Ztąd, jak słuszny czyni wniosek autor owego artykułu, widać, że przekład ten najwcześniéj 1633 r. był zrobiony lub ukończony. Odtąd głucho już zupełnie o Jagodyńskim. Nie bardzo płodny przez całe życie, może zamilkł teraz, a może i umarł wkrótce, co znowu przemawiałoby za naszém obliczeniem, i za posunięciem daty jego urodzenia dość daleko wstecz od końca w. XVI.

O innych jego pracach należy się jeszcze powiedzieć słów kilka. Jagodyński w pewnéj epoce swego życia, najpewniéj po przeniesieniu się do Krakowa, musiał się także zajmować heraldyką, skoro niejaki Giermański Stan., wydając (w Krakowie 1621 r.) krótki zbiorek heraldyczny, ten sam podobno, który późniéj przez Górczyna był powtarzany p. t.: „Summaryusz klejnotów abo herbów“ dodał na tytule, że

---

nie ma jednak żadnéj wzmianki, co się tylko przez to tłómaczy, że musiał zajmować bardzo skromne, wcale nie wybitne stanowisko. Zastanawia to tym bardziéj, że jako poeta, powinienby był zwracać większą na siebie uwagę na dworze królewicza, otaczającego swemi względami ludzi nauki uprawiających sztuki piękne. *Przyp. Red.*

był „z różnych autorów, a mianowicie z Bielskiego, z Paprockiego i scriptów S. S. Jagodyńskiego zebrany."

Niepewny i nieznany jest czas, w którym powstała i poraz pierwszy była wydana jedna z jego prac, którą może więcéj od wszystkich przysłużył się ogółowi, choć dotychczas mniéj powszechną zwracała na siebie uwagę. Jestto zbiór śpiewów kościelnych p. t.: „Pieśni katolickie nowo-reformowane i z polskich na łacińskie, a z łacińskich na polskie przełożone, niektóre téż nowo złożone." Jagodyński jest więc tych pieśni poczęści tłómaczem i to dwojakim, bo łacińskie przekładał na język polski a polskie na łaciński, poczęści zaś oryginalnym autorem. Z trzech różnych wydań tego dzieła, które posiada Biblioteka Jagiellońska, jednemu brakuje tytułu, na dwóch zaś innych wyrażone jest tylko miejsce druku: „Cracoviae, in officina Francisci Caesarii," widoczną jednak jest rzeczą, że są to książki, pochodzące z końca w. XVII, wtenczas, kiedy drukarnia Cezarych była już własnością trzeciego z rzędu Franciszka, wnuka pierwszego jéj założyciela. Wydania te równoczesne są zatem z edycyą, opisywaną zwykle przez naszych bibliografów, a wydaną także w téj saméj drukarni r. 1695 (Encyklopedya i Siarczyński mylnie podają r. 1595).

Jeżeli w ostatnich latach XVII w. tyle było różnych wydań téj książki, można śmiało przypuszczać, że dawniéj, t. j. za życia Jagodyńskiego i w czasie bliższym jemu musiało także być niejedno, a nawet dosyć znaczna ich liczba. Ze znanych, a powtarzających się co parę lat wydań ostatnich, widać, że to była książka popularna i ulubiona, że pobożni czytelnicy musieli wiele jéj egzemplarzy zużywać, że jéj do podniesienia ducha w domu i do nabożeństwa w kościele używano. Tymczasem, kiedy ją Jagodyński wydał raz pierwszy, i kiedy późniéj on albo inni te wydania powtórzyli, przez pół wieku nie ma najmniejszego śladu.

Już Juszyński chwalił ten zbiór i zaszczytnie go wyróżniał od późniejszych szczególnie, w czasach zepsucia literatury i przesadniego ascetyzmu, wydawanych śpiewników, mówiąc o nim: „Nie masz tu owych piosnek, które pełne prostoty (prostactwa) i nikczemności umieszczone były późniéj we wszystkich kancyonałach." Rzeczywiście, wszystko, co było najlepszego w tym rodzaju, począwszy od „Bogarodzicy" umieszczonéj tu również, jak i inne pieśni z tekstem łacińskim, zebrał Jagodyński w swoim śpiewniku, na którym też znać, że go układał człowiek wykształcony i z prawdziwym smakiem poetycznym.

II.

Jan Dominik Morolski nie jest osobistością znaną w naszéj literaturze. Gdyby nie był zostawił po sobie kilkunastukartkowéj książeczki, niktby nawet nie wspomniał jego imienia. Książeczką tą są wiersze, napisane na zgon jego żony Zofii z Kłosowskich, zmarłéj w pię-

tnastym roku życia po dwóch zaledwie miesiącach małżeństwa, wydane w Krakowie 1628 roku p. t.: „Pamiątka śmierci małżonki Jana Dominika Morolskiego w Krakowie Roku Pańskiego 1627 podczas jubileuszu wielkiego chwalebnie zmarłéj i pochowanéj!“ Z powodu tych wierszy wspominany był Morolski przez Juszyńskiego i Siarczyńskiego z dawniejszych, z nowszych przez Encyklopedyą Powszechną Orgelbranda i p. Faleńskiego w jego studyum o Trenach J. Kochanowskiego. Jednozgodnie wszyscy piszący o nim przyznają mu talent, chwalą jego wiersz piękny i język, i prawie wszyscy widzą w nim jednego z licznych naśladowców Trenów, które śmierci Urszulki zawdzięczają swój początek.

Nie mam nic przeciw pierwszemu z tych zdań. Rzeczą jest niezaprzeczoną, że w wierszach Morolskiego widać talent, któregoby się nawet nikt nie domyślał, biorąc poraz pierwszy do ręki książkę, napisaną przez autora tak mało znanego, przez autora, który dawszy raz tak znakomity dowód biegłości w piórze, nigdy już potém niém nie ruszył. Ale na to zgodzić się nie mogę, aby on pisał swoje żale „wzorem Kochanowskiego,“ aby był naśladowcą wielkiego naszego poety. Nie znając obcych zdań wyrażonych o nim, kiedym jego „Pamiątkę śmierci” czytał, uderzyła mię w tych wierszach ta przedewszystkiem okoliczność, że ten pisarz od wielu innych naśladowców, bliższy co do czasu Kochanowskiemu, tak bardzo od tego wspaniałego i pociągającego wzoru się oddalił, i na własny sposób to, co czuł wyśpiewał.

Powiedziałbym, że pod tym względem możnaby postawić Morolskiego na równi z Wacławem Potockim w jego Peryodach t. j. żalach na śmierć syna pisanych. Potocki także nie naśladuje Kochanowskiego, i dla tego p. Faleński, który nawet najmniejszego znaczenia pisarzów w tym rodzaju w rzędzie naśladowców Kochanowskiego pomieścił, jego całkiem słusznie w swojém studyum pominął. Kochanowskiego Treny są dziełem klasyczném, nietylko w tém znaczeniu, że są doskonałém dziełem sztuki, ale także i dla tego, że na nich, jak zresztą na wszystkich jego utworach, znać charakter i ducha renesansu czyli odrodzonego klasycyzmu. Potocki żył i pisał, kiedy literatura z pod wpływu klasycyzmu się usamowolniła, kiedy on działał więcéj pośrednio w połączeniu z innemi zupełnie czynnikami, i kiedy nadto duch ascetyczny i wyobrażenia chrześciańskie, zasymilowawszy się stanowczo z duchem narodowym, przemogły nad tradycyami starożytnego Olimpu. W środku pomiędzy nimi co do czasu stojący Morolski nosi również na sobie wybitne znamiona swéj epoki. Jestto dziecko renesansu chylącego się do upadku, poezya jego mocno przypomina smak zwany r o c c o c o, a podstawną jéj artystyczną formą możnaby powiedzieć, że są wszechwładnie w owe czasy panujące wszędzie c o n c e t t i. Jednę myśl przerabia on i powtarza w najrozmaitsze sposoby i kształty, linie proste lub regularne koliste mu nie wystarczają, tworzy on arabeski gnące się w przeróżnych kierunkach, i uderzające oko swą wyszukaną formą. Możnaby zarzucić mu

śmiało nienaturalność, posądzić go, że żal swój i płacz udaje, gdybyśmy tego ducha czasu nie wzięli na uwagę, tak daleko mu od klasycznéj prostoty Kochanowskiego i od potężnego religijnego uczucia w Potockim.

Z tego téż powodu wynika ten naturalny wniosek, że Morolski do Kochanowskiego zupełnie jest niepodobny. Dawniejsi pisarze gołosłownie to tylko twierdzili, jakby wystarczało im to dowodzenie, że jak Kochanowski pisał żale na śmierć córki, tak Morolski na śmierć żony—ergo musiał go naśladować. P. Feleński, lepiéj rzecz zbadawszy, był sprawiedliwszy i w sądach swoich ostrożniejszy. Więcéj niż dziewięć dziesiątych wierszy Morolskiego, mianowicie nagrobki i epigramata w najrozmaitszy sposób jeden i ten sam temat obrabiające, które jak na pierwszy rzut oka widać z poezyą Kochanowskiego nie mają nic a nic wspólnego, usunął zpod zarzutu czy téż od pochwały naśladownictwa. Naśladowanemi wydały mu się jedynie „właściwe Treny w liczbie trzech, mające już wiele wspólnego z Kochanowskim, mianowicie téż trzeci z rzędu, w którym powtórzono obraz Orfeusza i Nioby, jak jest w Trenie Kochanowskiego XIV i XV.“

Zajrzyjmy więc w te ustępy i porównajmy je ze sobą.

Morolski pisze tak:

„Orpheus ociec cudowney muzyki,
Pozbywszy przez śmierć miłéj Eurydiki,
Aza się śmierci lęka? aza swego
Ochrania zdrowia osierociałego?
  Sam się w podziemne drze gwałtem krainy,
Do niedostępney ludziom Proserpiny,
Nie dba, choć tam pies z troistą paszczęką.
Mieć a postradać to u niego męką.

a daléj zaraz potém:

Jeśli Niobe matka nieszczęśliwych
Dzieci, tak płacze y krzyczy nieżywych,
Że się od żalu i lamentow siła,
Żywa w nieszczęsny kamień obróciła.
Barziey przystoi mężowi sierocie“ i t. d.

U Kochanowskiego czytamy, najprzód w Trenie XIV:

„Gdzie te wrota nieszczęsne, którémi przed laty
Puszczał się Orpheus szukając swéj straty?
Żebych ja téż tą ścieszką swey najmilszéj córy
Poszedł szukać, y on bród mógł przebyć, przez który
Srogi jakiś przewoźnik wozi blade cienie,
I w lasy nie wesołe cyprysowe żenie.
A ty mię nie zostaway, wdzięczna lutni moja!
Ale ze mną pospołu podź, aż do pokoja

Surowego Plutona; owa go, to łzami,
To temi żałosnemi zmiękczywa pieśniami,
Że mi moię namilszą dziewkę jeszcze wróci...

Z Trenu znów XV, opuściwszy kilka wierszy z początku, zaczynamy od apostrofy do Nioby:

„Nieszczęsna matko! (jeśli przyczytać możemy
Nieszczęściu, co prze głupi swój rozum cierpiemy),
Gdzie teraz siedm twych synow i dziewek tak wiele?
Gdzie pociecha? gdzie radość i twoje wesele?
Widzę czternaście mogił, a ty, nieszczęśliwa,
I podobno tak długo nad swą wolę żywa,
Obłapiasz zimne groby, w ktorych, ach niebogo!
Składłaś dziateczki swoje zagubione srogo;
Takie więc kwiaty leżą kosą podsieczone,
Albo deszczem gwałtownym na ziemie złożone!
W którą nadzieję żywisz? czeka czekasz więcéj?
Czemu śmiercią żałości nie zbywasz co prędzéj?
A wasze prędkie strzały, albo łuk, co czyni
Niepochybny o Phoebe i mściwa bogini!
Albo z gniewu (bo winna) albo więc z litości,
Dokonajcie prze Boga! jéj biednéj starości.
Nowa pomsta, nowa kaźń hardą myśl potkała,
Dziatek płacząc Niobe sama skamieniała!
I stoi na Sipilu marmor nieprzetrwany,
Jednak i pod kamieniem żywią skryte rany,
Jéj bowiem łzy serdeczne skałę przenikają,
I przezroczystym z góry strumieniem spadają,
Skąd zwierz i ptastwo pije, a ta, w wiecznym pęcie
Tkwi w rogu skały, wiatrom szalonym na wstręcie.
Ten grób nie jest na martwym, ten martwy nie w grobie,
Ale samże jest martwym, samże grobem sobie.

Naśladownictwo w poezyi polega na używaniu tych samych motywów w działaniu, tych samych rysów charakteru, albo téż wreszcie tych samych obrazów poetycznych. Tutaj naturalnie o tych ostatnich głównie mogłaby być mowa. W czémże widać to naśladownictwo? Gdyby Morolski był chciał, w szeroko nakreślonych obrazach Kochanowskiego, w tysiącznych ich szczegółach, z których w każdym myśl może znaleźć podnietę do nowego obrazu, mógłby był czerpać zaiste obficie! Ale porównawszy jego słowa ze słowami Kochanowskiego, musimy przyznać, że tego nie uczynił. Wspólność jego z Kochanowskim ogranicza się, można powiedzieć, do samych tylko nazwisk Orfeusza i Nioby. Że te dwie mitologiczne postacie tu przytoczył, porównywając podobnie jak Kochanowski ich los ze swoim, czyż do tego potrzeba było naśladować nieśmiertelne Treny? W owych czasach mi-

tologia była na porządku dziennym; kto tylko chodził kiedy do szkół i uczył się łaciny, nietylko z tych co się późniéj pióra imali, ale nawet z braci szlachty, co chodziła za pługiem, lub wyprawiała harce z tatarami, znał ją z pewnością lepiéj niż dzieje własnego kraju. Morolskiemu, kiedy opiewał własne bóle, te dwie postacie żałobne stanęły przed oczami podobnie jak Kochanowskiemu, nie dla tego, żeby mu się przypomniały Treny, ale dla tego, że to były porównania powtarzane wówczas bez końca, z któremi każdy spotykał się niemal codziennie i u autorów starożytnych i u pisarzy ojczystym językiem piszących, że to były porównania, nie waham się powiedziéć, powszechnie kursujące w owéj epoce jako zdawkowa moneta. Pożyczać jeden od drugiego nie byłoby potrzeba tego, co wspólną wszystkich było własnością.

Kto zresztą był ten Morolski, jaki był jego stan i jakie losy? nie wiemy o tém nic. Może jakie wyjaśnienie mógłby nam dać nagrobek jego żony, bo opłakana tak gorąco przez męża, musiała być przez niego i jakim kamieniem grobowym uczczona. Ale los i téj wskazówki drobnéj nam odmówił. Zofia Morolska pochowana była w Krakowie w kościele Wszystkich Świętych, a kościół ten zburzony, już od wieku blisko nie istnieje.

III.

Najgorsze przysługi oddają podobno niezręczni przyjaciele, ale gorsze jeszcze od nich oddają sobie ludzie sami, jeżeli chcąc się przed światem pochwalić tém, co pochwały nie warte, dadzą sobie największą jaka może być naganę, jeżeli chcąc sobie napisać panegiryk, napiszą, mimo swéj wiedzy i woli, satyrę na siebie.

Podobna refleksya przyszła mi na myśl, gdym przeczytał pięciokartkową broszurę z początku tego wieku, niedbałym drukiem na ordynarnym papierze wydrukowaną pod szumnym tytułem: „Obraz życia Józefa Bielawskiego, niegdy Generała Adjutanta Buławy wielkiéj W. X. Litewskiego."

Któż z nas nie zna nazwiska pana generała adjutanta buławy wielkiéj W. Ks. Litewskiego? nie z jego pism zapewne, bo te utonęły dziś „w niepamięci fali;" ale z tego, że niegdyś ostrzyli na nim zjadliwy swój dowcip literaci z czasów Stanisława Augusta, a szczególnie Węgierski. Satyrykom i krytykom możnaby jednak nie wierzyć; Bóg wié przez co nieraz człowiek ściągnie na siebie ostre wyroki i złośliwość swych bliźnich? Można przecież i nie miéć talentu i pisać źle, a mimo to nie zasługiwać jeszcze na cięgi i pośmiewisko, których przedmiotem tak często bywał pan generał adjutant. Ale właśnie w téj nieszczęśliwéj broszurze, któréj bodajby był przez wzgląd na swoje dobre imię nigdy Bielawski nie wydawał, mamy wyraźny i niezbity dowód, że na to, co otrzymał od swych współczesnych, całkowicie zasługiwał.

Jak ze wstępu w rodzaju dedykacyi widać, „Obraz życia" dru-

kowany był, a prawdopodobnie i napisany w r. 1806. Czterdzieści jeden lat już więc upłynęło od chwili, kiedy z polecenia króla Stanisława (dziwić się należy, dla czego król jemu to polecił, i czy nie lepszym do tego był w owe czasy np. Bohomolec) otwierał Bielawski teatr narodowy w Warszawie nad wszelki wyraz słabą swoją komedyą: „Natręci," a siedmdziesiąt już blizko lat liczył sobie wtedy autor. Wiek zaprawdę obowiązujący każdego, nietylko adepta Muz, do powagi i szanowania siebie samego! Tę swoję pracę, niezawodnie ostatnią w życiu, ofiarował Bielawski właśnie co urodzonemu potomkowi pewnéj możnéj rodziny, któréj po nazwisku wymieniać nie widzimy potrzeby, pochlebiając sobie, „że (jak się wyraża) ten rysunek życia mego otworzy mu drogę do nieśmiertelnéj chwały; zaszczepi w nim chęć do nauk, dar podobania się i szacunek największy dla płci ślicznéj, któréj życie i wszystko winniśmy; rozciągnie sławę jego po całéj Europie i pomknie mu granic życia do stu lat..."

Przypadkiem znaliśmy, więcéj niż w pół wieku późniéj, tego człowieka, któremu Bielawski w kolébce tak szumne składał życzenia, i możemy zapewnić, że nic a nic z nich się nie spełniło. Przykłady i wzór do naśladowania, jakie mu poeta w swojéj osobie przedstawił, „nie rozciągnęły sławy jego po Europie;" był sobie to jeden z najzwyklejszych i najpospolitszych śmiertelników.

Ależ bo téż i nieszczególne wzory dawał mu Bielawski w „obrazie swego życia." Właściwie mówiąc, nie ma w tych wierszach żadnego „obrazu życia;" jest tylko kilka pochwał oddanych sobie bez żadnéj ceremonii i dowodzących niezmiernéj płytkości umysłu autora.

Życiem odebrał, duszę wlał Bóg w ciało,
Komuż się więcéj nademnie dostało?
Cieszę się z zdrowia, które w oddychaniu (?),
Poświęca duch mój M u z o m i k o c h a n i u.

Tak się poczyna ten „obraz," poczém zaczyna się Bielawski chwalić, że nigdy nie pragnął cudzego dobra, że „myśl dumna i chciwa" nigdy mu snu nie przerywałą, że nikomu nigdy nie pochlebiał, przyjaciół nie zdradzał, nie miał nigdy kart w ręku,

Lecz tylko lutnię, albo pióro wieszcze (!).

Najbardziéj rażącą w tych pochwałach bez ogródki sobie oddawanych jest zarozumiałość, z jaką wyobrażał sobie, że jest znakomitym poetą, i że imię jego do nieśmiertelności ma prawo. Z miną zwycięzcy i tryumfatora przypomina dawne swoje spory literackie, i pokonanie przeciwników, których zaiste zwyciężyć był zasłaby, przypisuje potędze swojego pióra.

Wzywam za świadków Nieba i Warszawy,
(także szczególne zestawienie!)
Jeżelim piórem sięgał cudzéj sławy,

Lub zębem złości o dom czyj zawadził,
Albo dopełnić zbrodni komu radził.
Kto mi tak podły w życiu krok pokaże,
Niech mię z pamięci i z serca wymaże,
Niech z ksiąg Parnasu wydrze imie moje,
A swoim Feba okryje pokoje (?).
Żem się zasłaniał, Greków idąc torem,
Zaostrém trochę od napaści piórem,
Nie mnie winujcie, lecz wściekłego człeka,
Co kąsa, gryzie i za drzwiami szczeka.
Mych obowiązków (!) prawa dopełniłem,
Gdy z chwałą Muzów (!) tę Hydrę uśpiłem.

W uwadze objaśnia, że to odnosi się do dwóch Satyr, które napisał na tych, co paszkwile piszą.

Wiele śmieszności jest w tém stawieniu się na piedestalu, i wielki brak rozumu widać w tém zaślepieniu miłości własnéj, które człowiekowi na schyłku życia będącemu nie pozwalało widzieć, ile był wart i co rzeczywiście zrobił na świecie. Śmiesznym jest także Bielawski ze swoją galanteryą dla płci pięknéj, z którą tu co chwila na plac wyjeżdża, zwłaszcza jeśli weźmiemy na uwagę, że to czyni w wierszach ofiarowanych nowonarodzonemu dziecku, które gdy do pewnych lat przyjdzie, ma z „tego obrazu życia” czerpać dla siebie naukę i przykład do naśladowania. „To jest pewna (powiada w Notach), żem wszystko (to wszystko, zaprawdę, bardzo jest niewiele) winien Muzom i kochaniu; miłość stworzyła mi drogę do cnót, do nauk i do chwały (!?),” i następnie przytacza ustęp „z mych piosneczek:”

Bo miłość jest mym żywiołem,
A me serce jéj kościołem.
Bo kochanie jest mym bogiem,
Wzdychać będę i za progiem,
I w czasie twéj niełaski,
Jeszcze westchnie Bielawski (!).

Wiemy, że galanterya w wieku, w którym żył, była chlebem powszednim; ale tak dziecinnie, tak śmiesznie nikt się z niéj nie spowiadał, chyba istoty próżne i bezmyślne, których imię razem z życiem przepadło na wieki.

Zapewnieniom Bielawskiego, że był poczciwym i prostodusznym człowiekiem, że się nie spodlił żadnym brzydkim czynem, możemy wierzyć całkowicie. Doczekał on się spokojnéj i pogodnéj starości, w późnych już latach, kiedy często innych dręczą troski i dolegliwości, jemu „smacznego snu w łóżku nic nie przerywało.” I tego można mu powinszować, choć za wielką zasługę poczytywać nie można, bo zwykle

ci śpią najlepiéj, na oba uszy, którym myśli w głowie nie ciążą i którzy zasklepią się w ciasnym widnokręgu ograniczonego umysłu i w miłém sobkostwie.

Jedném słowem, był to typ płytkich umysłów swojego czasu, śmieszny dla tego, że nie poznawał swéj nicości i pozował na wielkość. Jego przeciwnicy literaccy nie wyrządzili mu żadnéj krzywdy, robiąc z niego cel pośmiewiska. On sam nic lepszego sobie samemu nie zrobił i zdanie ich jaknajzupełniéj potwierdził.

PRAWO DO ŻYCIA.

NAPISAŁ

Dr. Bronisław Łoziński.

I.

Jak w farmakopei niebezpieczne leki, sprowadzające zatrucie w razie niewłaściwego użycia, tak w katalogach księgarskich wiele dzisiejszych publikacyi, traktujących o społeczeństwie i państwie, wypadałoby dla przestrogi zaznaczyć krzyżykiem. Dopóki nie zblednie do reszty, czego może już niezadługo się doczekamy, system bardzo popularny do niedawna w téj gałęzi umiejętności, system atomistyczny, biorący w swoich wywodach o ustroju społecznym i państwowym za punkt wyjścia nie społeczeństwo, lecz jednostkę, i stosujący ten ustrój do potrzeb i wymagań jednostki; często spotkać się można z rozprawą, napisaną wprawdzie przez autora, nie poczuwającego się bynajmniéj do wspólności z utopiami socyalizmu, a jednak naprowadzającą czytelnika inteligentnego na konkluzye blizkie tych utopii. Zręczny pisarz socyalistyczny mógłby z takich rozpraw ułożyć antologią, wykazującą tryumf idei socyalistycznych na polu naukowém. Ten system atomistyczny wytworzył teoryą o państwie praworządném (Rechtsstaat), która długo wydawała się wcielonym ideałem, ziszczeniem wszystkiego, co wymarzyli filozofowie. Wrzekomo zacząć się miała era panowania prawa na każdém polu życia jednostki i społeczeństwa, a hasła o równości i wolności indywidualnéj weszły formalnie w obowiązujące normy prawa konstytucyjnego. Społeczeństwo i państwo straciły w tym systemie charakter samoistnych organicznych ustrojów, zmieniły się niejako w konglomeraty indywiduów, wytworzone drogą arytmetyczną, przedstawiające tylko sumę ogólną jednostek, połączonych ze sobą wspólnym węzłem prawnym. Liberalizm nowoczesny przypisał sobie rolę głównego reprezentanta i stróża wszystkich tych pięknych zasad, które czas jakiś wystarczały mu za blichtr polityczny. Życie społeczne i państwowe nie dało się jednak nagiąć do doktryn nawet idealnie brzmiących, a cały ich urok nie wystarczył nawet na opanowanie je-

dnéj generacyi. To téż wszędzie, gdzie pod osłoną doktryn państwa praworządnego do niedawna liberalizm wydawał się wszechwładnym, zapanował widocznie zwrot zasadniczy, a nawet najwytrwalsi marzyciele zaczynają obudzać się ze złudzeń. Ogół, któremu za kryteryum służy praktyczny rezultat a nie abstrakcyjna wartość doktryny, najprędzéj przyszedł do przekonania, że na téj nowéj erze nietylko nie zyskał, lecz nawet boleśnie się rozczarował. Jednostka przeciwstawiona społeczeństwu i państwu, jak każda jednostka arytmetyczna sumie ogólnéj, zyskała tylko nowe i śmielsze aspiracye, które ziścić się nie dały i nie dadzą, bo państwo i społeczeństwo mają wytknięte naturą swoją tory życia i rozwoju tak samo niezmienne, jak w ogóle prawidła natury. Do absurdu doprowadzono szczególnie w Niemczech wszystkie doktryny państwa praworządnego, nie wyłączając nawet prawa powszechnego głosowania, które, jako wrzekomo najwybitniejsze znamię równości politycznéj, jako korona całego systemu, największą dumą przejmowało zwycięzki liberalizm.

Ale mimo zdyskredytowania się w praktyce, system atomistyczny pod względem książkowym jeszcze nie stracił siły żywotnéj, owszem, obfitemi pracami na temat bieżących kwestyi politycznych i społecznych ciągle się przypomina. W polityce doktryny jego nie są tak niebezpieczne, bo w najgorszym razie wytwarzają tylko rozczarowania i niezaspokojone wymagania. Natomiast na polu zagadnień społecznych to wysuwanie jednostki przeciw społeczeństwu ułatwia nadzwyczajnie skuteczną propagandę socyalizmu książkowego. Jeżeli prawnik zaślepiony w indywidualizmie stawia twierdzenie, że społeczeństwo jest niejako wielkiém towarzystwem, w tym samym rodzaju, jak inne towarzystwa, że zatém prawa członka tego społecznego towarzystwa w ten sam sposób określać należy, co prawa uczestników innych towarzystw, to zręczny propagator mrzonek socyalistycznych potrzebuje tylko powołać się na te wywody i wysnuć z nich, jako naukowo uzasadnionéj już premisy, cały szereg wniosków najdaléj idących. Wszystko, co socyalizm stawiał dotąd jako postulata swoje, więcéj w sposób brutalny niż naukowy, mógłby dzięki nowym teoryom ująć już w formę naturalnego wyniku najświeższych badań nad naturą, ustrojem i istotą społeczeństwa. Niejeden autor téj szkoły możeby był pracę pozostawił w rękopisie na zawsze, gdyby był przewidział, jak cenną przysługę wyświadcza nią socyalizmowi.

Do tego rodzaju prac, bezwiednie na rzecz socyalizmu pisanych, należy świeżo w Wiedniu wydana broszura d-ra Juliusza O f n e r a: „Das Recht zu leben" (Prawo do życia). Jest to odczyt, wygłoszony przez autora na zebraniu klubu naukowego w Wiedniu. Gdyby broszura ta nie stanowiła charakterystycznego symptomu w duchu powyższych uwag, a więc symptomu poważnego pod względem naukowym, może nie zasługiwałaby na tak szczegółową uwagę. Temat bowiem nie jest nowy. Sam tytuł przypomina jeden ustęp mowy Robespierra, wygłoszonéj w konwencie. „Co jest pierwszym celem społeczeń-

stwa?—tak opiewa ten ustęp.—Ochrona nietykalnych praw człowieka. Które z tych praw jest pierwszém? Prawo do życia." Od tego czasu na temat prawa do życia pisano wiele, ale mimo to dr. Ofner ma zasługę oryginalności, bo wysnuwa to prawo z wszelkiemi pozorami ściśle naukowéj dedukcyi z ciekawéj, chociaż w konsekwencyach szkodliwéj doktryny, która stawia społeczeństwo na równi ze stowarzyszeniami. Żeby czytelnika dobrze poinformować, a zarazem zyskać podstawę do dalszych własnych uwag na temat prawa do życia, podamy z broszury d-ra Ofnera resumé szczegółowe. Chodzi tu nie o samo tylko zaspokojenie ciekawości, jaką wzbudzać musi w czytelniku wszelka oryginalność, a szczególnie oryginalność w pomysłach na temat kwestyi społecznych. Ważniejszém jest zastanowienie się, czy naprawdę dzisiejsze urządzenia społeczne i państwowe są tak niewystarczające dla ochrony życia, żeby aż należało wstrząsać ich podwalinami i szukać nowych podstaw, przyczém tak łatwo zejść z drogi prost na manowce bez wyjścia.

Chociaż rozprawa dr. Ofnera stanowiła odczyt, wymagający z natury rzeczy lekkiéj formy i pewnéj żywości w traktowaniu przedmiotu, mimo to autor z niemiecką systematycznością zaczyna od postawienia dwóch pytań wstępnych: co to jest prawo? co to jest życie? Jedno i drugie pytanie zaprzątało już pewnie więcéj filozofów, aniżeli autor miał słuchaczy i wydało więcéj dzieł głęboko pomyślanych aniżeli kartek lub nawet słów zawiera cała rozprawa. Ale mając do czynienia z publicznością, słuchającą tylko odczytów i niesk łonną do głębszych filozoficznych studyów, autor postąpił sobie słusznie a raczéj lojalnie wobec słuchaczy, tłómacząc popularnie wstępne pojęcia filozoficzne. Zresztą musiał nawet wyrazić swoje zapatrywanie na te kwestye wstępne, ażeby wnioski były w harmonii z założeniem i aby słuchacz mógł z nim razem, niejako równym krokiem, zdążyć do wspólnego celu t. j. do ostatecznych wniosków. Oto zapatrywania autora:

Celem każdego ustawodawstwa jest dobro ogólne. Żeby zdanie to bliżéj objaśnić, szuka autor porównaczego objaśnienia w objawach naturalnych. O ruchu wszystkich ciał niebieskich (np. planet) rozstrzyga ogólna grawitacya. Ciało takie grawituje ku innym, które je otaczają, więc musiałoby się ku prawéj i ku lewéj stronie równocześnie zwracać. Ale z sił w ten sposób działających równocześnie powstaje siła wypadkowa, rozstrzygająca o stopniu i kierunku ruchu, a nazywana grawitacyą ogólną. Takie znaczenie ma także dobro ogólne. Dobro pewnéj jednostki wymaga często środków przeciwnych tym, które służą dobru innéj jednostki. Społeczeństwo musi zatém wybierać drogę pośrednią, odpowiadającą ile możności dobru wszystkich. Celem téj drogi jest dobro ogólne.

Ustawodawstwo ma na celu dobro każdéj jednostki. Czy każda jednostka ma prawo do szczęścia? Odpowiedź na to pytanie wymaga nowéj dygresyi, mianowicie objaśnienia różnicy między prawem pozy-